



grażyna jagielska
fastryga



Grażyna Jagielska

(ur. 1962) – tłumaczka literatury angielskiej, dziennikarka i pisarka. Przetłumaczyła m.in. książki J.G. Ballarda, Fay Weldon, Joanny Trollope. Jej debiutem prozatorskim była powieść *Korespondent* (W.A.B. 2004), owoc podróży dziennikarskich z lat 1994–1996 do Kaszmiru, Sri Lanki i Afganistanu.

grażyna jagielska
fastryga

prolog

Mela miała dziesięć lat, kiedy umierając pod schodami, zobaczyła coś więcej niż inni ludzie. Spadała krótko, zdążyła tylko pomyśleć: „Nie ma stopni pode mną, nigdzie nie ma?” – i jeszcze przez chwilę szukała oparcia dla nóg i rąk. Niepotrzebnie, bo czas już się cofnął, zabrał Mełę.

„Jeszcze szukam, chwytam-nie chwytam” – myśli i zaraz potem jest zupełnie mała, frunie gdzieś wysoko, uwolniona z rąk ojca czuje, jak pęd powietrza unosi jej włosy. Pogodny świat wzlatuje i opada, pewne ręce czekają na dole.

„Łapią mnie?” – upewnia się Mela, lecąc klatką schodową, hen, w stronę trzeciego stopnia. W chwili gdy uderza w niego prawą skronią, pamięć przenosi ją jeszcze dalej. Mela przemyka przez matkę, trwa to tylko mgnienie, i trafia tam, gdzie nie zaglądał nikt przed nią.

„Ale nie umieram! – zastrzega się. – Jestem gdzie indziej, ale nie umieram. Myślę o tym, co najbardziej lubię”.

Było to pole świeżo zaorane pod koniczynę. Mela i babka Leonia biegly na przełaj, zgrzane, pod wiatr, babka śliczna, dwudziestoletnia. Z brązowych, lśniących bruzd bił kwaskowy zapach wilgoci, uwolniony zbyt nagle spod spieczonego wierzchu; lato drugiego roku wojny było naprawdę upalne. Ziemia buchała gorącem jak rozkrojone ciasto, liście stały na sztorc, w stawie bulgotała rześa. Także wokół babki coś się działo, coś na niej gęstniało, od samego sklepu spożywczego, ruchliwe i przylepne, niemal miłosne. „Cienie z bukowego lasku” – pomyślała Mela. Leonia minęła zagajnik w drodze do miasteczka.

Teraz biegła z powrotem, spowita w cienie młodniaka, ściskając w ręku siatkę z chlebem i paczką „tureckich”, koniny już nie zdążyła zapakować. Zaczęła biec od razu w sklepie. „Pani Werska, pani nie wraca do domu – szepnęła sklepowa, niby to sumując cyfry w słupku. – Niemcy!” I zaraz umknęła wzrokiem ku bryłom koniny, po którą Leonia stała cały ranek.

Mela ledwo nadązała za babką, cienie aż furkotały na wietrze. Tkliwie gładziły biodra i piersi Leonii, białe grochy na niebieskiej sukience.

Biały Dwór był niedaleko, oddzielony od pól sadem i sporym kawałkiem trawnika. Biegły, dysząc, rabaty goździków i fuksji skakały im w oczach. Ostatnie bruzdy i drzewa dzieliły je od werandy z kolorowymi szkiełkami, błyskającymi w słońcu. „Jezu, Jezu!” – powtarzała babka po szyję w szarych, kochliwych zwojach. Zbijały się na niej,

zachodziły jeden na drugi. „Wcale nie są z lasu – pomyślała Mela, która dobrze знаła drzewa. Buki nie miały z tym nic wspólnego. – Może to ze sklepu?”

„Nie zdążę! – mówiła babka. – Nie zdążę!”

Kiedy Mela znów odwróciła głowę, Leonii nie było już widać, obok sunął cień podszyty niebieską sukienką. „Jezu, Jezu” – mówił, rękami szukając swojej twarzy.

Drzwi białego domu otworzyły się, ale nikt w nich nie stanął, po prostu czekały na babkę.

Mela leży pod schodami bardzo cicho, trochę śpi, trochę nie śpi. Liczy iskry, które powoli dogasają w jej głowie, słowa dobiegające gdzieś z boku. Stara się o niczym nie myśleć, jak najmniej oddychać, żeby nie spłoszyć ptaka, który na chwilę w niej przysiadł. „Pamiętam wszystko – myśli tak cicho, jak tylko potrafi, samymi ustami. – Wszystko! Zanim się urodziłam, też”.

– Nie powinnaś tego robić! – mówi z pretensją ktoś w kuchni, tuż za ścianą. Mela dobrze wie, że nie powinna. Zamiast chodzić na strych, powinna pomóc przy rozpakowywaniu bagaży, choćby tych tobołów w kuchni. Nie powinna spadać ze schodów, matka i bez tego miała dość kłopotów.

Teraz próbuje ułożyć się inaczej, być twarzą i przodem ciała po tej samej stronie, ale nic w niej nie działa. Jedno oko jest zamknięte, Meli zdaje się, że na stałe. Przed drugim ma krawędź stopnia, aż krągłą od częstego używania, tak blisko, że widać dro-

binki olejnej farby i włókna starego dębu. Ostrożnie zerka w bok na skręcone ciało, ustala swoje położenie. „Nie szkodzi, nie szkodzi – pociesza się. – Z lśniących bruzd, zbyt nagle spod spieczonego wierzchu... Nie mogę się ruszyć, ale wszystko wiem. Babka Leonia nie zdążyła”.

– Mela! – dobiega z kuchni.

– Aa ee! – odzywa się Mela spod trzeciego stopnia. – „Już idę, mamol!”

I naprawdę ma taki zamiar, już zaczyna się zbierać, Mela jest grzecznym dzieckiem. Ale zaraz czuje, że coś ją nęci, ciągnie z powrotem. „Tylko zajrzę i zaraz wrócę – myśli. – Zobaczą tylko, czy babka jeszcze tam jest. Dowiem się, co było dalej”.

Ale kiedy znów znalazła się na polu, dobiegało końca inne lato. Poznała od razu, bo Biały Dwór był jakiś inny, a pole gęste od żyta i przekwitłych chabrów. Szła jego obrzeżem, wydeptaną ścieżką, swoim zwyczajem chwytając garścią ostre, dojrzałe kłosa. Sięgały jej ledwie do pasa. „Widocznie urosłam – pomyślała – a dom otynkowano”.

Szła coraz prędzej, ponaglana czyimś nawoływaniem, już tylko muskała łany otwartą dłonią, żeby nie tracić czasu. Widziała już szybki w drzwiach werandy, żółte i pomarańczowe. Biały Dwór był tuż. Zatrzymała się na skraju pola, osłaniając oczy. Ktoś siedział na progu, cień o gęstym spodzie, rzadszym wierzchu, ktoś bliski, strasznie zmieniony. „Pradziadek? – zdziwiła się Mela. – Mówili, że umarł w Ameryce”.

Minęła bokiem wiśniowy sad, młodszy niż ten, w którym się bawiła – to dlatego dom wydawał się wyższy – przeszła przez miękki, świeżo założony trawnik. Lato było inne, chłodniejsze, ale w drzwiach werandy nadal siedziało to, co przyprowadziła babka Leonia, trochę mniej przejrzyste, może przybrudzone czekaniem.

„Ciemne. – Mela patrzyła z daleka. – Ciemniejsze. Nie takie jak na babce. Prawie czarne!”

– Już, zaraz – mówiło, szukając swojej twarzy. Coś się w niej rozlewało, podchodziło czernią, obejmowało nos, usta, policzki, Meli nie udało się prawie nic zobaczyć. „Pradziadek zrobił coś gorszego niż babka Leonia – pomyślała. – Coś naprawdę złego”. Teraz już wiedziała, że mimo pośpiechu przyszła za późno, nieszczęście już się działo.

Stała koło schodków, nawijając na palec zbożową witkę, którą przyniosła z pola, patrzyła na ogród. Sad wydawał się obcy i Mela z trudem rozpoznała wśród drzew ulubioną papierówkę. Pod nią, na beczce deszczówki stał jeszcze przez chwilę pradziadek Werski. Przeształ z nogi na nogę, jakby chciał dobrze dopasować stopy do dębowej pokrywy, zanim się od niej odbije. Skoczył jak z trampoliny, ugiąwszy kolana, i strącił z drzewa ostatnie papierówki.

– A! – woła Mela pod schodami. – E!

„Nie umiem mówić – myśli – ale wszystko pamiętam. Pradziadek nie pojechał do Ameryki,

powiesił się na starej papierówce. Było przy nim to, co przy babce Leonii, o wiele gorsze, prawie czarne”.

– ...garnki na blat, słoiki do szafek – odzywa się gdzieś blisko kobiecy głos. – Trzeba to najpierw wyszorować.

– Ja to zrobię – mówi ktoś niechętnie.

„Pradziadek się powiesił – odpowiada Mela w ciszy rozbitej głowy. – Myślał, że jak umrze, to wszystko naprawi. Wcale tak się nie stało”.

– Tylko porządnie, bo aż się klei. Bóg wie, co tu było przedtem.

W kuchni ktoś się krząta, rozpakowuje coś szeleszczącego i ten cichy, nieustanny szelest udziela się najpierw ścianom i żarówce na suficie, potem obejmuje schody, krągłą krawędź i jedyne oko Meli. Słyszy go w sobie raz głęboko, raz płytko, pod samą skórą. Mela jest za to wdzięczna, może myśleć, że umiera, szeleści jak pergamin, może nie wiedzieć, dlaczego pradziadek powiesił się w sadzie. Nie chce już nigdzie wracać, z całych sił skupia się na odgłosach z kuchni, na szelestach. Czuje, że zapomni, co widziała, jeżeli tylko pomyśli o tym, co jest w kuchni. Jest kobieta-matka i dziecko, Mela na pewno wie, jak mają na imię, musi się tylko skupić. Z kuchni dobiega groźne, ostrzegawcze podzwanianie wiadra, brzdęk i chlust wody.

– Na litość boską! – krzyczy Krystyna z irytacją.

– Ja niespecjalnie! – woła Ewa.

– Cała przeprowadzka na mojej głowie, z babci też nie ma żadnego pożytku. – Krystyna wyciska ze szmaty wodę do wiadra. – Usiądź gdzieś i chociaż mi nie przeszkadzaj! – mówi. – Sama nie dam rady. Gdzie ta Mela? Znów ją gdzieś poniosło. Me-la!

część I

Tego dnia przed świtem wyprowadziły się z Białego Dworu, od ósmej rano był już cudzą własnością. Zabrały to, co zwykle zostaje po takich bankructwach – ubrania, trochę sprzętów – i przeniosły się do stróżówki przy głównej bramie; tam miały zamieszkać. Był to szary dom, wcinający się bokiem w ulicę Przytorową tak głęboko, że stał właściwie na chodniku, zawadzając przechodniom. Od śmierci ostatniego stróża zamieszkiwały go bezpańskie koty, czasem zimował ktoś bezdomny, na co Krystyna przymykała oko. Rudera faktycznie nadawała się tylko do rozbiórki, ale z całego majątku – dwustuletniego domu, parku ze starodrzewu i hektarów żyznego rodowego gruntu – została im właśnie ona i kawałek ogrodu z Kaczym Stawem, zarosniętym rzesą od wiosny do późnej jesieni.

Krystyna zrzuciła toboły z pościelą przed kuchennymi drzwiami stróżówki i zawróciła do Białego Dworu po babkę. Pani Werska dostała wylewu

na wieść, że muszą opuścić dom, i jeszcze nie doszła do siebie. Powtarzała tylko: „dom, park i pola, dom-parkipola”.

Idąc po teściową, Krystyna rozmyślała, jak to się czasem dobrze w życiu składa. Jeszcze niedawno stary Walicki radził rozebrać stróżówkę, z cegieł postawić nowy mur od strony ulicy. „Ładnie byśmy wyglądały!” – pomyślała Krystyna. Mur na nic by się teraz nie zdał, za to stróżówka była jak znalazł. – Inaczej to chyba na ulicę – powiedziała. Z trudem przepchnęła przez zarośla wózek inwalidzki z babką i dostawiła go do tobołów z pościelą. To już było wszystko.

– To niemożliwe – powiedziała babka i popatrzyła pytająco na Krystynę. – Dom, park i pola.

Stróżówka w niczym nie przypominała domu z kolumnkami, który babka Werska odziedziczyła po przodkach wiele lat temu. Piaszczyste podwórko zarośnięte było gęsto łopianem, w ogrodzie leży się zaskronce. Podobało się tu tylko Meli, może dlatego że przedtem nie wolno jej tu było zaglądać – Krystyna bała się chorób roznoszonych przez bezpańskie koty.

Mela obiegła podwórko, na którym robotnicy już stawiali mur z pustaków, odgradzając stróżówkę od reszty posiadłości, która o ósmej rano przestała być ich własnością. Obejrzała wszystkie kąty – w piwnicy były nietoperze. Trochę pomogła matce przy rozpakowywaniu. Dobrą godzinę biegała między sienią a podwórkiem, znosząc nowe tobołki.

A kiedy Krystyna zajęła się czym innym, Mela znalazła drogę na strych.

Po upadku ze schodów Mela nie różniła się prawie niczym od innych kalekich dzieci. Nie widywała już krewnych z czasów przed swoim urodzeniem, zmarli pochodzili z jej własnej teraźniejszości. Tego, co im towarzyszyło, nie zobaczyła również i przez długi czas nie wracała na pole za Białym Dworem. Nie pamiętała, co przytrafiło się jej pod schodami, choć ta zdolność, jaką w sobie wtedy odkryła, przycupnęła w niej jak sprytny ptak, który zamiera na czas chłodu i budzi się dopiero, gdy jest bezpiecznie.

Nowe życie całkowicie ją pochłonęło, było ciekawsze niż poprzednie. Musiała codziennie obchodzić ogród, doglądać drobiu, dbać o ludzi, o których nikt inny nie pamiętał. Lubiła wszystkie te zajęcia, dawały jej satysfakcję, poczucie, że jest ściśle związana z tym, co żyje i umarło na Przytorowej.

Ogród obchodziła z samego rana. Zaczynała ceremonialnie, od grządek zdziczałego rabarbaru, który rósł tuż za główną furtką, pół na pół ze szczawiem. Szła zawsze tą samą drogą, aż wydeptała ścieżkę między bylinami, skupiona i rześka mimo wczesnej pory, przejęta ważnością tego, co robi.

Granica między ziemią a Melą była niewyraźna. Mela zachodziła na ziemię, ziemia zachodziła na Mełę, żyły jedna z drugiej jak drzewa w starym sadzie. Ten sad był tak stary, że pnie szerniały i zro-

gowaciały, a rozrośnięte konary jabłoni zmieszały się z gałęziami gruszy, rodziły wspólnie. Za sadem leżał Kaczy Staw. Wiosną rosły wśród tataraku aksamitne baze, latem cofające się wody odsłaniały pokłady lepkiego, czarnego mułu. Często lustro wody ginęło pod zielonym kożuchem.

Mela okrążała sadzawkę i wchodziła do części warzywnej, między sałatę, kalafiory i marchew. Była to jedyna zagospodarowana część ogrodu i Mela miała tu najwięcej roboty.

Za warzywniakiem stała naturalna altanka z leszczyn wielkich jak dom, dawny plac zabaw. Zaraz po przeprowadzce ustawiły w niej ławę na drewnianych klocach i zbudowały kamienne palenisko, prawdziwą kuchnię. Było to posępne, mroczne miejsce, gdzie nigdy nie docierało słońce, a zaskrońce miały swoje gniazdo. W kącie wały się garnki-zabawki, dziecięcy serwis w niebieski wzorek i trójzębne blaszane widelce. Dla Meli te szczątki miały takie samo znaczenie co ogród, wiązały ją z siostrą, której już nikt nie pamiętał, nawet Krystyna-matka.

W pamięci Meli siostra nadal przychodziła w leszczyny bawić się serwisem, trochę starsza pisała wypracowania w kolorowych zeszytach. Całkiem dorosła opłakiwała tu swoje miłosne zawody, niezdane egzaminy, niefortunne wizyty u fryzjera. Mela spotykała się z wszystkimi Ewami, choć większość z nich nie żyła od dawna.

Ci sami ludzie umierali w Meli po wiele razy. Babka Leonia rzadziej niż inni, Krystyna-matka pra-

wie co roku, siostra przy każdej okazji – ledwo Mela odwróciła wzrok, a już jej nie było. Ludzie umierali, gdy zachodziły w nich zmiany. Mela miała w sobie niezliczone siostry, z których gdzie indziej nie pozostał nawet ślad, ukochane koty, dawne matki. Chowała bliskich tak często, aż straciła rozeznanie.

Bała się, że podobnie może być z ogrodem, pilnowała go więc staranniej niż ludzi. Pochłaniało ją to, co dzieje się pod powierzchnią ziemi – sprawy życia i śmierci, jakie się tam rozgrywały. Prowadziła Ewę głęboko w sad, żeby pokazać, co się w nim naprawdę odbywa, upewnić się, że jeszcze tym razem przetrwał noc. Wkładała palce w ziemię jak w masło, przebierała, sprawdzając, czy jest tam jeszcze coś żywego. Tłumaczyła Ewie, dlaczego się tak martwi, mówiła: „A! E!” Ewa przestępowała niecierpliwie z nogi na nogę, a potem biegła zobaczyć poletko truskawek albo nurogęsi, które przysiadły na stawie w drodze na południe.

Żeby zatrzymać siostrę, Mela uczyła ją, jak się wyławia ze stawu wielkie płaty rzęsy, wysysa sok z rozkwitłych forsycji albo drze tatarak na wąskie pasy. Wtedy szła za nią ścieżką między bylinami, ku temu wszystkiemu, co wyczuwała tylko ona, krzywa Mela – w powietrzu, słońcu, w jajkach wykluwających się węży. Ewa zostawała chwilę, a potem umykała: do altany i lalek, do krzaków słodkich malin i koleżanek, do narzeczonych i egzaminów, do męża i własnych dzieci. Mela sama kończyła obchód ogrodu. Znany już tylko sobie przejściem w gąszczu berberysów wracała do bocznej furtki, gdzie od

rana czekała na nią babka Leonia. Mela przepychała wózek inwalidzki pod pustakowy mur oddzielający ogród od Białego Dworu i stuletniego parku. Wdrapywała się na ogrodzenie, na tyle, na ile pozwalało jej kalectwo, i opowiadała babce, co widzi po drugiej stronie.

– A! – mówiła. – E!

Biały Dwór obrastał bardzo prędko w białe i szare ściany, przybudówki, lustrzane kawałki blachy, w inne domy, zza których nie było już prawie widać tego, co znały. Wyrąbany park zaczął odrastać młodymi kępami w niezabudowanych miejscach. Gdy minęło dziesięć lat od ich wyprowadzki, czyjaś brzoza zasłoniła ostatni kawałek – szarą pręgę kalenicy i skrawek komina z anteną satelitarną.

– A! – opowiadała Mela babce, z głową nad pustakowym murem. – E!

Kiedy już się napatrzyły, Mela przepychała wózek do starej oranżerii, w której babka urządziła sobie pracownię. Zdarzało się, że przesiedziały tam beczynnie całe popołudnie, Mela na schodkach, babka na wózku, popijając gazowaną lemoniadę. Czasem babka była bardzo zajęta, rzeźbiła ptaki, Mela siedziała obok, patrząc na to, co dzieje się w drewnie.

Któregoś chłodnego, wietrznego ranka nie zastała babki przy bocznej furtce. Szyby oranżerii zmatowiały prawie zaraz, schodki zaszyły czymś zielonym – choroba babki wszystko zmieniła. Nowe życie Meli, od czasu wypadku i przeprowadzki toczące się wolno, spokojnie naprzód, zawróciło nagle

ku dawnym wydarzeniom, jakby chciało zawiązać pętlę.

Krystyna stała nad babką Leonią, którą prawie całkiem sparaliżowało, i próbowała sobie przypomnieć, jak teściowa wyglądała przedtem. „To niemożliwe, żeby zapomnieć kogoś w dwie godziny” – myślała. Ale zmiany, jakie zaszły w pani Werskiej, były tak gruntowne, że wykluczały istnienie kogoś innego, kto żył wcześniej. Na wersalce w jadalnym leżała stara kobieta, w niczym niepodobna do żwawej babki Leonii. Krystyna stała nad nią ciągle w fartuchu, z nożem oblepionym zielonymi drobinami, które spadały na dywan. Nieszczęście zastało ją przy kuchni.

„Nie tak miało być. – Przemknęło jej przez głowę. – To jakaś pomyłka”.

Opadła na krzesło i patrzyła z niedowierzaniem na szpalery zrudziałych bżów, które sama zasadziła przed laty. Odgradzały dom od torów kolejowych i starej mleczarni po drugiej stronie.

„Najpierw Mela, teraz babka” – myślała. Babka pisała coś czynną ręką w starym bloku rysunkowym, który dała jej z rana. Co ona pisze? „Mamo”, tak pisała Mela, dawno temu, ale tak samo, literami na całą kartkę. „Mamo?”

Krystyna poruszyła się niespokojnie, obejrzała na schody prowadzące na poddasze, jakby stamtąd kogoś się spodziewała. Wystarczyło, by gdzieś przysiadła, odłożyła na bok robotę, a przeszłość zjawiała

się jak stary, czujny pies, który całymi dniami czeka na wolną chwilę swojego właściciela. Drzwi na klatkę były otwarte, czuć było za nimi ciemną, stromą przestrzeń. Dziesięć lat temu weszła tam Mela.

„To już dziesięć lat?” – zdumiała się Krystyna jak co dzień. Nadal miała wrażenie, że dzień przeprowadzki jeszcze trwa, niczego jeszcze nie zakończyła. Dopiero co opuściła dom z kolumnkami, stary dwór Werskich, spakowała to, co zostało po licytacji, i wyniosła na ganek. Trzy toboły z bielizną, komplet krzesel, skrzynię posagową. Udało jej się też zachować część ziemi, kawałek ogrodu z sadzawką i dawną stróżówkę przy głównej bramie, z podwórkiem zarosniętym gęsto łośpianem. Nowy dom był tak blisko Białego Dworu, że nie musiały płacić za transport, same przeniosły rzeczy w trzech turach, przepchnęły wózek z babką i tobołami z bielizną. Pani Werskiej odjęło władzę w nogach, ale umysł miała sprawny. Złożyły bagaże w kuchni stróżówki, babkę Mela ustawiła przy zlewie, a potem poszła na strych. „I po co, dziecko? – powtarzała Krystyna w myślach, ciągle od nowa. – Tyle się działo na dole”. Ewa przyniosła z ogrodu martwego zaskrońca i upuściła go między walizki, był to prawdziwy smok rozszarpany przez psy. Babka zwymiotowała do torby z pościelą, z kuchennych szafek wypęzły ślepe kocięta. „Po co chodziłaś na górę, córeczko?”

Krystyna znalazła Melę dopiero późnym popołudniem. Nie usłyszała krzyku ani odgłosów spadania, nie wiedziała nawet, że w stróżówce są schody, nigdy przedtem tu nie była. Od przeprowadzki

upłynęło tyle lat, a ona ciągle odtwarzała w myślach swoje czynności, wszystko, co robiła, podczas gdy Mela leżała pod schodami. Wszystkie te ważne rzeczy, które minuty niedotlenienia mózgu zmieniły w godziny. Uprzątnęła zaskrońca, umyła babkę, wyczyściła pościel, poszła obejrzeć przybudówkę, gdzie odkryła hodowlę pieczarek. Znalazła wiadro i wyszorowała część pomieszczeń na parterze.

Na Melę natknęła się w chwili, gdy za oknami, bramą i szpalerem bżów przeleciał z hukiem pośpieszny do Krakowa, wprawiając szyby w delikatne drżenie. Zaraz potem zaczęła rodzić, na dwa miesiące przed terminem. Lekarza nie wezwano ani do niej, ani do Meli, nie miał kto tego zrobić. W stróżówce nie było telefonu, nie miały też pieniędzy na taksówkę. Krystyna urodziła sama, na wyszorowanej podłodze w kuchni, pośród walizek i ślepych kociąt. Dziecko było martwe. Powtarzała sobie jednak, że wszystko będzie dobrze – z nią, z przetrąconą Melą. Nigdy nie wyprowadziły się ze stróżówki, choć mówiło się, że niedługo odzyskają Biały Dwór. Tak naprawdę Krystyna już sobie tego nie życzyła. Wołała zostać w stróżówce, wyobrażać sobie, że Mela poszła na poddasze i zaraz zejdzie, cała i zdrowa. „Po coś tam chodziła, dziecko?”

Krystyna stała nad babką, która pisała i pisała, rozglądając się wkoło czujnie, jednym okiem. „Co to? – pisała. – Co to?” Krystyna przysunęła twarz do jej zmienionej, krzywej twarzy.